



ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM

Stippa zaprasza na Musseta. Teatr robiony z radością

Kiedy prawie rok temu zobaczyłem spektakl Teatru Telewizji „Matka odchodzi”, poczułem, jakbym złapał Pana Boga za nogi. Ten montaż poezji i prozy Tadeusza Różewicza, a także jego wiejskiej mamy, poruszał sprawy fundamentalne: więź rodzicielsko-synowską, surowość życia na dawnej wsi, chorobę i nadchodzącą śmierć. Pozostało jedno: zakrzyknąć, że rodzi się na naszych oczach reżyserski talent. Mowa o Przemysławie Stippie, dotychczas znanym ze znakomitych ról aktorskich.

Zawsze powtarzam, że aktorzy bywają najlepszymi reżyserami, bo empatię mają we krwi. Ileż Stippa wycisnął z tamtego zbioru tekstów. Jak harmonijnie połączył piękno słów ze smakiem obrazu i dźwięku. Teraz zaś powrócił z nową ofertą. Próbując sił w zupełnie innym teatralnym gatunku.

„Barwy uczuć” to znów nie jeden tekst dramatu, lecz rodzaj kolażu złożonego z kilku elementów. Scenariusz został oparty na dwóch jednoaktówkach XIX-wiecznego dramatopisarza Alfreda de Musseta – „Kaprys” i „Drzwi muszą być albo otwarte albo zamknięte” inkrustowanych kawałkami wziętymi z „Maksym i rozważań moralnych” François de La Rochefoucaulda, wydanych o wiele wcześniej, bo w 1664 r.

Przeplatają się dwie historie. Zaniedbujący swoją żonę arystokrata zostaje poddany swoistej próbie przez jej przyjaciółkę. On nie dba o uczucia innych, co się jednak stanie, kiedy sam zostanie popchnięty do zazdrości? I mamy cokolwiek absurdalne dialogi dojrzałej pary, która nie potrafi sobie wyznaczyć miłości. Właśnie miłość staje się tworcą piętnastych łamiętek i podchodów.

Spektakl Stippy jest kolejnym wystawionym na żywo – po „Apollu z Bellac” Jeana Giraudoux, który pokazała pół roku temu w Teatrze Telewizji Anna Wieczur. Aktorzy grają jednym ciągiem, bezpośrednio do kamery, bez późniejszego montowania. To samo robią każdego wieczoru w teatrze. Tyle że tu każdą ich wpadkę może wychwycić największa widownia. Tak się grało telewizyjny teatr w dawnych czasach. Był już nawet spektakl „Barwy uczuć” według tekstów Musseta. Niestety, nie zachował się. TVP chce tę tradycję wznowić.

Współczesne „Barwy uczuć” są powrotem do świata, w którym o uczuciach mówiło się z poetyką

elegancją. Gdzie stawały się one tematem dialogów potocznych, miejscami paradoksalnych. Stippa świetnie klei ze słów swoiste mozaiki. Ojczyzną tych paradoksów zawsze była Francja. Nie oznacza to idylli pełnego szczęścia. Choć reżyser aranżuje happy end obu przypowieści, uważny widz wyczuje za tą euforią odrobinę goryczy. No bo czy związek starszej pary naprawdę się uda? I czy zagoniony do własnej żony hrabia stanie się kimś, kto pokocha kogoś poza samym sobą?

Przyznam szczerze, że bliżej mi do obrazu świata ze wspominek Różewicza o matce niż tego z Musseta. Jan Englert nazywa takie widowiska ciastkami z kremem, ale odkrywamy w nich także salonową powierzchowność. Warto jednak podkreślić perfekcyjną robotę teatralną. Robert Majewski i Aleksandra Justa jako przekomarzający się „dorośli” byli wyborni. Marcin Korcz (Hrabia), Anna Zachciał (jego żona Matylda) i Anna Szymańczyk (Ernestyna) świetnie brali wiarę francuskiej miłosnej intrygi. Z przyjemnością patrzyło się na Mirosława Konarowskiego w roli wszędobylskiego sługi. Był przewodnikiem po tym świecie. A ja pamiętam go z lat 70. i 80. jako filmowy wzorzec z Sèvres męskiej urody.



Była naprawdę piękna muzyka Tomasza Sroczyńskiego, były rozkosznie umowne dekoracje Aleksandry Redy, jednej z pierwszych dam polskiej scenografii. Oboje tworzyli już z tym reżyserem wizyjnego Różewicza. I czuło się, że Stippa natchnął sześcioro aktorów swoim entuzjazmem. Ten teatr był robiony z prawdziwą radością.

Piotr Zaremba